Rozmaitości

DNIA 15. LUTEGO Ner 7. 1834 ROKU.

PUŁKOWNIK HRABIA CHABERT.

(Powieść podług francuzkiego.)

»Patrzcie, oto znowu idzie ten stary, łachmanami okryty charłak,« rzecze w kancelaryi jeden z dependentów adwokata Derville, co stał przy oknie, na ulicę poglądał i jadł śniadanie. Robiąc gałki z chleba, rzucał je na kapelusz jakiemuś nieznajomemu, idącemu przez dom przechodni w ulicy *Vivienne*, gdzie znajdowała się rzeczona kancelaryja.— »Pan spi i nie można go budzić,« odezwał się drugi dependent, pracujący nad spisem *listy expensarum*. — »Trzeba staremu jakiego figla zrobić,« zabrał trzeci głos, »inaczéj nie da nam nigdy spokoju. Co mówicie na to, gdybyśmy mu powiedzieli, że pan nasz nie przyjmuje klientów swoich, tylko między trzecią i czwartą po północy? Ciekawy jestem, czy i wtedy przyjdzie ten nudziarz.«

Wszyscy trzéj rozśmieli się i dowcip ten znaleźli wybornym; a w tém trzy razy zapukano do drzwi i gdy dependenci *entréz* zawołali, wszedł człowiek w starym podartym kaftanie, na którym już koloru znać nie było, z uszanowaniem i skromnością, zwyczajną nieszczęśliwym, z cicha drzwi przymknął, i próżno szukał na twarzach dependentów wyrazu grzecznego przyjęcia. Biegły może w sądzeniu o ludziach obrócił się nader uniżenie do najmłodszego z dependentów i rzekł z pokorą: »Czy mogę mówić z panem komornikiem Derville?« — Złośliwiec odpowiedział na to zapytanie biednego człowieka wskazaniem na lewe ucho, jak gdyby chciał wyrazić, że głuchy. »Czego wćpan chcesz?« zapytał drugi dependent, poprawił się przy stoliku, zatknął pióro za ucho, a nogi tak jednę na drugą założył, że kolanem zbliżył się prawie ku brodzie.

»Jużto poraz piąty przychodzę,« odpowiedział obcy, »i chciałbym mówić z panem Derville.« — »Czy w interesie prawnym?«

»Tak jest, lecz tylko jemu samemu powiedzieć go mogę.« — »Pan komornik spi jeszcze. Jeźli więc wćpan w sprawie jakiéj rady jego zasięgnąć pragniesz, to muszę mu powiedzieć, że w interesach pracuje tylko między trzecią i czwartą po północy. Lecz gdybyś chciał nas zaufaniem swojém udarować, możebyśmy mogli tak dobrze, jak on —«

Biedny klient stał oniemiały. Nieśmiało pojrzał w około siebie, jak pies, co w kuchni boi się bicia, i szukał krzesła, gdyż był niezmiernie znużony. — »Mój panie,« przemówił nareszcie, nie znalazłszy ani krzesła, ani przyjaznéj twarzy, ani pocieszającego nie usłyszawszy wyrazu, »miałem już honor powiedzieć panu, że oprócz pana Derville nikomu interesu mojego wyjawić nie mogę. Zaczekam więc, dopokąd nie wstanie.« Piérwszy dependent, który właśnie *listę expensarum* ukończył, wstał odebrać niesioną mu przez służącego czokoladę, a, idąc do komina, pojrzał na starca pełnym dumy, lecz przytém nic nie wyrażającym wzrokiem i rzekł, popijając czokoladę: »W samej istocie, mój panie, ci panowie prawdę mówią; pan nasz tylko w nocy pracuje, a jeźli sprawa wćpana jest ważną, to radzę mu, udać się tu koło piérwszéj w nocy.« Obcy pojrzał na dependenta i stał chwil kilka milcząc i nieruchomie, a odchodząc rzekł z westchnieniem: »To dobrze, przyjdę jeszcze téj nocy.«

Ledwo zdołał drzwi zamknąć, gdy trzéj dependenci głośnym parschnęli śmiéchem,

— »Jak ten obdartus wygląda,« rzekł piérwszy, »czy uważaliście łeb jego?« — »Jak gdyby świéżo był z grobu wykopany,« dodał drugi. — »Założę się, że to jakiś stary odprawiony sierzant, który chciałby być znowu umieszczony w służbie czynnéj,« mówił trzeci. — »Ja sądzę, że to będzie raczéj dozorca więzienia,« zrobił drugi uwagę. — »Gdzie tam,« przemówił znowu piérwszy, »założyłbym się nie wiedziéć o co, że to szlachcic.« — »Szlachcic? co też ty mówisz!« przerwał drugi śmiejąc się; »a nie widziałżeś jego podartéj kapoty, któréj koloru już rozeznać nie można i butów, pełnych otwartości?« — »A jednak utrzymuję, że to szlachcic,« odrzekł piérwszy, »gdyż to ułożenie, ta jego mina...« — »No, o co zakład?« — »O bilety dla nas wszystkich do którego z teatrów.« — »Dobrze, idzie zakład!« i rzekłszy te słowa trzeci dependent, poskoczył ku oknu, otworzył je i wołał: »Mości panie! Mości panie!«

»Co robisz Edwardzie?« zapytał piérwszy. — »No, wołam go na górę, by się go zapytać, kto ón jest; wszakże sam musi o tém najlepiéj wiedziéć.« Nowy śmiéch powstał, a tymczasem biédny starzec, usłyszawszy na dziedzińcu, że go wołają, wracał do kancelaryi.

»Cóż mu teraz powiémy?« zapytał drugi. — »Zostawcie to na mnie,« rzekł piérwszy. »Mój panie!« przemówił do starca, gdy tenże z nieśmiałym i w dół spuszczonym wszedł wzrokiem, »mój panie, bądź tak grzeczny i powiédz nam swoje nazwisko, ażebyśmy mogli donieść panu komornikowi kto z nim mówić pragnie.«

»Jestem C h a b e r t.« — »Przecież nie pułkownik Chabert, który zginął pod Eylau?«

»Ten sam, mój panie,« odpowiedział obcy z prostoduszną szczéréścią, i wyszedł.

Tu śmiechu, zapytań i objaśnień było bez końca. »Przegrałeś,« rzekł piérwszy dependent do drugiego, »musisz pokupić nam bilety. Do któregoż teatru pójdziemy?«

»Do najtańszego, jeźli będę musiał zapłacić; tymczasem nie jestto jeszcze udowodnioną rzeczą, i może ten stary frant tylko sobie z nas zażartował. Wszakże cały świat wié o tém, że pułkownik Chabert nie żyje, i że żona jego poszła powtórnie za mąż za radzcę stanu Ferranda. Wiécie o tém bardzo dobrze, gdyż ona jest klientką naszego pana.«

»A gdybyto był istotnie pułkownik Chabert, toby był inaczéj nauczył cię, przyjacielu, gdyś głuchego udawał.«

»Na każdy sposób odkładamy umówiony teatr, dopóki spór ten rozstrzygniony nie zostanie.« I dependenci, usiadłszy znowu przy stolikach, daléj pracować zaczęli.

O godzinie piérwszéj po północy zapukał tak zwany pułkownik Chabert do drzwi pana Derville, który, lubo jeszcze był młody, miał sławę najbieglejszego prawnika w Paryżu. Był wpuszczony i nie mało się zdziwił, gdy zastał piérwszego dependenta, porządkującego na stole jadalni paki aktów, które nazajutrz do procesów użyte być miały.

Dependent, nie mniéj zdziwiony, przywitał pułkownika, i prosił go siedziéć, co też tenże uczynił.

»W saméj istocie, mój panie, sądziłem wczoraj, że wćpan żartujesz, wyznaczając mi tak szczególną godzinę do zasięgnienia rady w interesie,« rzecze starzec z wesołością nieszczęśliwego, który się do uśmiechu przymusza.« — »Żartując prawdę zarazem mówiliśmy wćpanu,« odrzekł dependent. »Pan Derville, bądź ze zwyczaju, bądź z upodobania obrał godzinę tę do zatrudnień procesowych, i najmiléj w tym czasie zajmuje się rozpoznawaniem spraw i układaniem pism obrończych. Zdaje się, jakoby bujna wyobraźność jego po północy tylko w całym rozwijała się blasku. Chce być sam na sam i miéć spokój, gdy pracuje. Wćpan będziesz od lat sześciu trzecim przykładem nocnéj z nim narady. Gdy powraca do domu, wszystko jak najdokładniéj przegląda, wszystko odczytuje, układa plany swoje, a potém każe mnie przywołać, by mi zdanie swoje oznajmić. Wieczory przepędza zwykle w towarzystwach, lecz pośród zabaw różnego rodzaju o swoich procesach rozmyśla. Przyznał mi się, że najlepsze myśli przychodzą mu śród zgiełku rozrywek salonowych. Takie jest życie jego. Z resztą jest bardzo czynny i dużo pieniędzy zarabia.«

Starzec milczał na to, a twarz jego przybrała tak głupowaty wyraz, że dependent był szczérze tego zdania, iż go nie rozumiał, i nie zajmował się nim więcéj. W kilka chwil wszedł pan Derville. Dependent otworzył drzwi i zatrudniał się klasyfikowaniem aktów. Młody adwokat, ubrany w sukniach balo-

wych, zatrzymał się i, zdziwiony, poglądał na szczególnego klienta, który go w ciemnym kącie pokoju oczekiwał.

Pułkownik Chabert stał bez poruszenia, jak figura woskowa, lecz ta martwość jego nie byłaby może dla Dervilla przyczyną zadziwienia, gdyby podwyższona przez osobliwą, prawie nadludzką, powierzchowność starca, nie była wystawiała w nim tak zupełnie dziwnego obrazu. Byłto wysoki, chudy człowiek; oczy jego, miasto mieć blask jakowy, zdawały się powleczone błonką bez życia i, mając wiele podobieństwa do perłowéj macicy, rzucały przy świcach niebieskawy połysk. Twarz jego była blada, ciemno-brunatna i pomarszczona. Szyję miał ściśniętą starym, niegdyś z czarnéj kitajki krawatem, a człowiek z wyobraźnością mógłby był tę starą głowę uważać za rysy cienia, rzucone przypadkiem na świetle. Byłto obraz Rembranda bez ram. Brzég kapelusza, którym czoło starca zakryte było, formował na górnéj części twarzy pas czarny, przez któreto, równie nienaturalne jak dzikie piętno, białe zmarszczki, zimne zarysy lica i zapadnięte téj trupiéj fizijonomii policzki, w sprzeczności z owym odcieniem będące, jeszcze się wydatniejszémi okazywały. Do tego przyczyniały się także owa zupełna nieruchomość ciała starca, i spojrzenie bez wszelkiego ognia z pewnym wyrazem ponuréj nieprzytomności umysłu, tudzież z symptomatami, charakteryzującémi obojętnych na wszystko ludzi, a któreto znamiona, rozlane po postaci obcego, robiły go, niech tak rzekę, tak nieszczęśliwą w wyobrażeniu istotą, że język ludzki nie był w stanie dać jéj nazwiska. Lecz baczny dostrzegacz coś więcéj z tego zawiędłego, pochylonego człowieka wyczytać umiał. W tych szczątkach życia znajdował znaki głębokiéj boleści i rysy nędzy, które zniszczyły ducha w tém, niegdyś ładném, obliczu, jak spadające z nieba krople wody są w stanie zniszczyć z czasem najprzepyszniéjszy marmur. Lekarz, poeta lub sędzia byłby mógł cały dramat osnować w myśli na widok téj przerażającéj figury, któréj najmniéjszą było zasługą, że była podobna do owych urojonych obrazów fantazyi, jakie zapaleni malarze, rozmawiając z przyjaciołmi, zwykli w roztargnieniu kreślić na papierze. Na widok adwokata wydał starzec konwulsyjne poruszenie, jak poeta, którego łoskot raptowny śród ciszy nocnéj z okropnych marzeń obudza. Nieznajomy zdjął prędko kapelusz i wstał powitać młodego adwokata; ale peruka, zapewne o skórkę w środku zaczepiona, została się w kapeluszu, i pułkownik błysnął okropnie pociętą czaszką. Poprzek ciągnąca się blizna, odznaczona grubym narostkiem, z tylnéj części głowy zaczęta, ginęła aż pod prawém okiem.

Ani adwokat, ani dependent nie miał chęci do śmiania się; tak okropnie ta czaszka wyglądała. Patrząc na nię, mimowolnie przychodziła myśl do głowy: »Kto ma taką czaszkę; musiał wiele cierpiéć.«

»Mości panie!« przemówił Derville, »z kim mam honor mówić?«

»Z pułkownikiem Chabert,« odrzekł starzec, »z tym samym, który był pod Eylau zabity.«

Na tę dziwną odpowiedź obaj mężowie Temidy spojrzeli na siebie, jak gdyby chcieli mówić: »Ten człowiek ma obłąkane zmysły.«

»Mój panie!« mówił daléj pułkownik, »to, co panu o sobie i swoim losie mam do powiedzenia, chciałbym mu tylko sam na sam powierzyć.« Godną uwagi jest rzeczą, że adwokaci zwykle nie znają bojaźni. Bądź, żeto pochodzi ze zwyczaju widywania wielu i rozmaitych ludzi, bądź, że im dodaje otuchy przekonanie o opiece praw, lub zaufanie w swoim urzędzie, dosyć, że, równie księżom i lekarzom, wszędzie bez trwogi wchodzą. Możnabyto nazwać odwagą stanu cywilnego.

Derville dał znak dependentowi, a ten oddalił się. »Mój panie!« rzekł Derville, »we dnie nie liczę godzin, lecz w nocy każda chwila jest mi droga; przeto proszę wćpana, chciéj się, ile możności, jak najkróciéj, i tylko li o interesie, wyrażać. Sam wćpana poproszę o wyjaśnienie mi tych szczegółów, które mi ciemnémi wydawać się będą. Mów wćpan!«

Dał więc dziwnemu klientowi swojemu znak, ażeby usiadł, sam zaś siadł w końcu stołu, na którym od niechcenia przerzucał akta, cokolwiek także uwagi zwracając na wyrazy mówiącego, lecz wkrótce tak go powieść starca zajęła, że go słuchał z największém natężeniem.

»Wiadomo wćpanu zapewne,« rozpoczął opowiadanie zmarły, »że pod Eylau pułkiem jazdy dowodziłem. Śmiało mogę powiedzieć,

iż przyczyniłem się do zwycięztwa, jakie tam armija nasza odniosła. Jestto historyczna prawda, która, jak na nieszczęście moje, obszérnie we wszystkich dziennikach opisaną była, gdzie oraz o mniemanéj śmierci mojéj wspomniano. Rozbiliśmy kolumny rossyjskie i postępowali naprzód. W chwili, gdym się ku miéjscu zbliżał, gdzie się cesarz Napoleon znajdował, zdybałem się z czołem jazdy nieprzyjacielskiéj. Jak szalony rzuciłem się na nię, lecz dwóch oficérów, prawdziwe olbrzymy, zaczęło na mnie naciérać i rozpłatali mi czaszkę. Spadłem z konia. Murat chciał mi w pomoc pospieszyć, lecz przeleciał przeze mnie, a za nim trzy-tysięczny oddział jego. Wierzaj mi, panie, że mówię prawdę. Doniesiono o mojéj śmierci cesarzowi, który mnie dosyć lubił; chciał się przekonać i doświadczyć, czyby mię jeszcze uratować nie można, i posłał dwóch chyrurgów, ażeby mię opatrzyli, mówiąc do nich zapewne w ten sposób: »Pójdźcie i obaczcie, czy biédny Chabert jeszcze żyje.« Przeklęci chyrurdzy, którzy byli zapewne tego zdania, iż mię kopyta końskie roztratować musiały, może mię szukali na bojowisku, a może i nie; nic nie wiém o tém, bo leżałem bez przytomności. Tyle wiém tylko, że zrobili raport, iż istotnie umarłem; po czém też śmierć moję wciągniono, według zwyczaju, w księgi wojskowe.«

Uważając adwokat, że klient jego wyraża się tak rozsądnie, tak jasno, a przytém tak dokładnie wypadki swoje opowiada, podparł rękę na lewém ramieniu, głowę na ręce położył i rzekł: »Czy wiész wćpan także, mój panie, że ja jestem adwokatem hrabiny Ferrand, wdowéj po pułkowniku Chabert?«

»Mojéj żony? Wiém o tém i dla tego dopiéro po wielu daremnych krokach, które do innych adwokatów robiłem, a którzy wszyscy za szalonego mię mieli, skłoniłem się udać się do wćpana. O nieszczęściu mojém poźniéj mówić będę. A teraz pozwól wćpan, bym mu same *facta* opisał i tak je wyjaśnił, jak sam wiém o nich; albowiem z powodu wielu okoliczności, niestety! o których Przedwiecznemu tylko wiadomo, zmuszony jestem o niektórych szczegółach jedynie nawiasowo napomknąć. Rany moje musiały mi bezwątpienia odebrać przytomność; wszakże byłem zupełnie obdarty i leżałem nagi na bojowisku, tak, że ludzie, których wysłano do pogrzebania umarłych, i mnie także razem z trupami do grobu wrzucili. Pozwól panie, bym tu do mojego opowiadania mały wmieszał ustęp, o którym dowiedziałem się poźniéj dopiéro po owém zdarzeniu, które śmiercią moją śmiało nazwać mogę.«

»Zdybałem się w Stuttgardzie z dawnym kwatermistrzem mojego pułku. Poczciwiec ten, jedyny człowiek, który chciał poznać mię poźniéj, wyjaśnił mi, jakim sposobem ocalony zostałem. Mówił, że w téj chwili właśnie, kiedy od Rossyjan porąbany byłem, koń mój w bok postrzelony został. Jeździec z koniem razem powalili się na ziemię, tak, że kadłub konia zupełnie przykryć mię musiał. Gdym, panie, przyszedł do siebie, znajdowałem się w położeniu i w atmosferze, których nie byłbym w stanie opisać, choćbym nawet do jutra mówił. Powietrze, którém oddéchałem, było parne i wyziewami zatrute. Chciałem się ruszyć, ale nie miałem miéjsca do tego. Otworzyłem oczy i nic nie widziałem. Czułem, że nie mam czém oddéchać, i że się będę musiał udusić. Okropna myśl ta odjęła mi cierpienia bolesne, które mię piérwéj ocuciły. W uszach uczuwałem brzmienie i słyszałem westchnienia, odzywające się pode mną, lub zdawało mi się może, że je słyszę, bo nic z pewnością twierdzić nie mogę. Lubo przypomnienia chwil tych dosyć ciemno i z pewném obłąkaniem tylko odbijają się w méj duszy, miewam jednak nocy niekiedy, w których słyszę te przytłumione westchnienia. Lecz tam było wtedy coś daleko jeszcze okropniéjszego, jak westchnienia, byłato cichość, jakiéj od tego czasu nie doświadczyłem, prawdziwa cisza grobowa. Nareszcie wydobywając ręce i dotykając się w około mnie ciał martwych, postrzegłem przedział między mną i kupą trupów nade mną, że utworzyły kąt jeometryczny, podobny do tych, jakie dzieci, stawiając z kart domki, formować zwykły. Z nadzwyczajną koło siebie pracując szybkością dopadłem ręki, jak na szczęście, do żadnego ciała nie należącéj, ręki prawdziwie herkulesowéj, któréj istotnie ocalenie winien jestem. Z wściekłością nie do opisania odgartywałem tą ręką stérczące nade mną trupy.

Pracowałem spiesznie w tym celu, ile siły starczyć mi mogły, i dotąd nie pojmuję, jak zdołałem przedrzéć się przez tę warstwę ciał, tworzącą zaporę między mną i życiem; atoli miałem trzy ręce, a usiłowania moje coraz mię więcéj do powietrza zbliżały, tak, iż dzięki Bogu, już łatwiéj oddéchać zacząłem. Nareszcie ujrzałem światło, w dwójnasób od śniegu rozjaśnione. Wtenczas dopiéro postrzegłem, mój panie, że miałem ranę na głowie, lecz ta krwią moją własną, moich kolegów i konia mojego, jak plastrem zalepiona była. Gdy zranioną głową dotknąłem się śniegu, straciłem przytomość, lecz wkrótce potém, czółgając się, dolazłem do miéjsca, na którém promienie słońca śnieg stopiły. Tam ze dwie godziny krzyczałem o pomoc, a potém zapadłem powtórnie w śmiertelne prawie omdlenie. Skoro przyszedłem do siebie, słońce wschodziło właśnie. Przechodząca niewiasta miała tyle serca, że obejrzała moję czaszkę, zawołała będącego nie daleko męża swojego i oboje zanieśli mię do drewnianéj chatki. Tak wtedy byłem osłabiony, że dni kilka bez pamięci leżałem. Przez kilka miesięcy walczyłem między życiem i śmiercią, i, jak mi poźniej gospodarstwo moi opowiadali, lub nic nie mówiłem, lub mówiłem od rzeczy. Dobrzy ci ludzie oddali mię nareszcie do szpitala w Heilsbergu.«

»Łatwo, panie, pojąć możesz, że z grobu, tak, jak z łona matki, zupełnie nago wyszedłem. Gdy więc po dziesięciu miesiącach przypomniałem sobie, że jestem pułkownikiem Chabertem, i chciałem, ażeby ludzie uznali mię za niego i szanowali, wszyscy śmiali mi się w oczy. Lecz, jak na szczęście moje, chyrurg szpitala uwziął się z miłości własnéj wyleczyć mię, i gdy poźniej odkryłem mu stan mój i imię moje, kazał sporządzić sądowy opis miejsca, w którém żywcem pochowany byłem, dnia i godziny, kiedy od owéj dobroczynnéj niewiasty i jéj męża znaleziony zostałem, wreszcie rodzaju rany mojéj i przydał do tego protokułu opisanie mojéj osoby. Ale, mój panie, nie posiadam, niestety! ani tych ważnych papierów, ani świadectwa, które o prawdziwości osoby mojéj u notaryjusza onego miasteczka złożyłem. Odkąd poźniejszémi wypadkami wojny z Heilsbergu wygnany zostałem, jak włóczęga tułałem się po Niemczech; żebrałem chleba i uważano mię za waryjata, gdy opowiadałem moje przygody. Lecz ani grosza nie miałem, by owe akta wydobyć, a które do potwierdzenia moich opowiadań nieodzownie były potrzebne. Cierpienia, skutki ran moich, zatrzymywały mię często w małych miasteczkach i wioskach, gdzie mię dobrotliwie pielęgnowano, jak długo litości potrzebowałem, lecz wyśmiéwano natychmiast, skoro, czując własną godność, pułkownikiem Chabertem być chciałem. W Stuttgardzie zamknięto mię nawet wyraźnie do domu szalonych, lubo sam przyznaj, panie, azali dziwne twierdzenia moje nie usprawiedliwiały tego srogiego postępku? Po dwóch latach cierpień i nędzy, gdy z tysiąc razy słyszałem mówiących: »Oto ten biédak, co sobie wyobraża, że jest pułkownikiem Chabertem!« przekonałem się nareszcie, że z moim planem nie trafię do końca. Posmutniałem; zrzekłem się losu mojego i spokojnie znosiłem biedę. Nie chciałem już więcéj być pułkownikiem Chabertem; ani słowa nie mówiłem o tém, nie wspominałem mojego nazwiska i chciałem tylko raz jeszcze przed śmiercią Francyją obaczyć — ach! panie, co za rozkosz dla Francuza, Paryż po długiém niewidzeniu oglądać!« Rzekłszy z uczuciem te słowa, spuścił starzec głowę, chcąc ukryć łzę, mimowolnie z oczu płynącą. Derville szanował milczeniem żal jego.

»Pewnego dnia,« mówił daléj starzec, »było to w dniu pięknym wiosny, otworzono więzienie moje, dano mi sześć talarów i pozwolono udać się, dokąd zechcę; wszelako pod warunkiem, ażebym więcej podobnych bredni nie plótł i nie utrzymywał, że jestem pułkownikiem Chabertem. Mogę powiedzieć, że w owym czasie, a nawet i teraz miewam niekiedy chwile, w których odrazę cierpię od mojego imienia. Chciałbym nie być mną i nie miéć mojego nazwiska. Gdyby były rany moje zabrały mi wszelkie przypomnienie przeszłości, o jakże byłbym szczęśliwy! Lecz co mię zupełnie biednym robi, to przekonanie o prawach moich. Mając inne nazwisko, byłbym znowu wstąpił do wojska i może byłbym znowu dosłużył się stopnia pułkownika. (Ciąg dalszy nastąpi.)

LITERATURA FRANCUZKA.

Journal des Debats z dnia 18. z. m. umieścił z powodu wydanego nie dawno w Paryżu bezbożnego i niemoralnego romansu Nepomucena Lemercier: *Le mariage sacrilege*, długi krytyczny artykuł, zasługujący z tego względu na zaszczytną pochwałę, iż z największą dobitnością ocenia jeden z owych zasmucających płodów literatury francuzkiéj, tak bardzo w tym zawodzie podupadłéj. *Journal des Debats* nie tylko w artykule swoim wykrywa błędy dzisiejszéj literatury francuzkiéj, lecz oraz sposobem, godnym największéj uwagi wypowiada wojnę pewnym zasadom systematu, który, zrodzony we Francyi, długo w całéj Europie uchodził za podstawę wszelkiéj oświaty i kultury umysłowéj, tudzież za posadę wszelkiéj religijnéj i politycznéj wolności. »Francyja« mówi tenże dziennik, »jest dzisiaj nową Babiloniją; zamieszanie, panujące w tym kraju, równie wyobrażenia, jak i język obejmuje. Nieporządku tego mniéj należy szukać w zburzonych pomysłach teraźniejszości, jak raczéj w dziejach nowszego czasu. Rzecz ta jasną się staje, gdy weźmiemy na uwagę rozmaite kierunki, którémi teraz duch czasu postępuje. Pokolenie obecnie żyjące podzielone jest w filozofii na systemata Condillaca, Laromiguiere i Cousina; w dziejach po między Mablym, Sismondim i Guizotem; w literaturze między Wolterem, Chateaubriandem i Wiktorem Hugo. Czas, w którym te rozmaite teoryje powstawały, był za krótki, nowowciskające się nauki nie mogły dawnych żywiołów zniszczyć zupełnie, i kiedy nowe stronnictwo jeszcze z dawuiéjszém walczyło, występowało trzecie, bardziéj spor ten gmatwające. Gdy *Męczennicy* Chateaubrianda wypierali z pola literatury *Pucelle* Woltera, okazał się *Hernani* Wiktora Hugo z orężem w ręku. Jeden szermierz drugiego wypędzał, jeden tryumf z drugim się łączył. Ze wszech stron tak gorliwie zaciekano się w boju, że zapominano umarłych pogrzebywać i trupy w téj walce upornéj wydawały się śpiącymi wojownikami. Pan Nep. Lemercier należy do szkoły encyklopedystów i ta charakterystyka jest zupełnie dostateczną do skreślenia ducha tego męża. Człowiek taki mniéj daleko do samego siebie, jak do swojego systematu należy; dziś Lemercier podnosi głos swój miasto Jana Jakóba Rousseau. Zdaniem naszém jestto w saméj istocie dziwném widowiskiem, że pośród 19go wieku wychodzi książka do 18go należąca, i że o zasadę filozoficzną teraz z tak wielką gorliwością walczą, jak gdyby filozofowie dziś jeszcze zajmowali się obaleniem istnących religii, jak gdyby nic nie przedsiębrano, nie powiedziano, lub nie pomyslano od czasu wielkiéj krucyjaty Woltera przeciw wszelkiéj wierze dawnych wieków, i jak gdyby o to tu jeszcze chodziło, by biédną staréj Francyi budowę aż w jéj posadach poruszyć, która wszakże przed czterdziestą laty już od wolnych mularzy encyklopedyi zniszczoną była. Lemercier tymczasem dwa tylko punkta obszérnego systematu, którego jest uczniem, powtórnie na jaw wyprowadza, sztukę i morał, Woltera i d'Argensona, akademiją i deizm.« Z tego stanowiska, jak *Journal des Debats* daléj rzecz prowadzi, rozpoczyna ten autor wyprawę przeciw romantyce i postępuje ostatnim kierunkiem pięknéj literatury francuzkiéj. Tenże dziennik dodaje jeszcze godne uwagi postrzeżenia: »Było potrzebą, ażeby rozpoczęta i wykonana w naszych czasach rewolucyja literacka utworzyła w każdym względzie mnóstwo miernych płodów. Nowe nauki do tego zmierzały, by obalić powagę akademii. Ony autorów, którzy piérwéj pewny ogół stanowili, odosobniły niejako, to jest: wskazały im własne środki, którémi działać powinni. Jako zwoleńnicy szkoły klasycznéj, bronili się ustalonémi prawidłami, lecz jako romantycy, zmuszeni są zastawiać się własną wartością. W istocie jestto nieszczęściem naszego wieku, że te wielkie i jędrne nauki, które umysłowi skrzydeł dodają, zupełnie prawie zaniedbane zostały. Abelard, Luter, Descartes nie byliby niepokoili świata, gdyby byli pędzili życie na pisaniu wodewilów i krytyk. Wyjąwszy kilku mężów, których opatrzność niejako palcem swoim oznaczyła, reszta nowatorów jest czczą, jałową i niezdolną swojemu powołaniu odpowiedzieć. Nieobeznani z filozofiją i nieświadomi starożytnych języków zepsuli mowę francuzką, córką tych języków będącą; zrobili ją suchą, chudą i śmieszną. Ubodzy i bez ustalonych wyobrażeń robią wielki hałas słowami i na

szczych frazesach wyprawiają skoki śmiertelne. Nieobznajomieni z dziejami ludzkich stowarzyszeń męczyli się nad wynalezieniem nowych stosunków pomiędzy mężczyzną i kobietą, obręb życia domowego skalali nieczystemi obrazami i bynajmniéj nie troszczyli się o to, że to wszystko jest już od dwóch tysięcy lat dawném śmieciem. Nareszcie niektórzy z nich, nie posiadając dość stałéj teoryi do usprawiedliwienia dzieł własnych, utworzyli sobie pustą i sprzecznemi maxymami naładowaną krytykę, w któréj uczeń nad nauczycielem przewodzi, a karły mierzą olbrzymów na łokcie.“ Z dzieła pana Lemercier wyprowadza *Journal des Debats* taką treść ogółową: że zasady religii i praw nie są dostatecznemi do poskromienia namiętności, i jeden jest tylko hamulec, mogący ją wstrzymać, a tym jest sumienie. Ponieważ autor za nadto tu ocenił władzę przedmiotowego sumienia, więc *Journal des Debats* odsyła go z tego powodu do piątego rozdziału pisma księdza de la Mennais: „O indifferentyzmie,“ a potém zadaje to wielkie zapytanie: „Czy, jak encyklopedyści twierdzą, jest w ogólności naturalne, od objawionych religij niezawisłe sumienie?“ — „Rzecz dziwna,“ mówi daléj, „że encyklopedystom sprzeciwiają się ich właśni, największą u nich powagę mający autorowie. Papież deistów, lord Bolingbrooke, powiada: „Że jestto fantastyczném omamieniem, chciéć robić z sumienia naturalną zdolność,“ a gdy Condorcet, równie jak ten nie podejrzany, dnia 21. kwietnia r. 1791 władzy ustawodawczéj przekładał plan wychowania, żądał: „ażeby oddalić od siebie to wszystko, co naturalną religiją nazywać się zwykło.“ — Myśl Condorceta łatwo odgadnąć. Sumienie podług niego jest zupełnie indywidualne i niezawisłe. Lecz jedno sumienie może mówić biało, gdy tymczasem drugie czarno mówi, a jeżli, podobnie jak deiści, nie przyjmujemy żadnéj władzy, wyższéj od rozumu ludzkiego, będącego najwyższym sędzią świata, jeżli np: nie przyjmujemy Boga, który się przez kościoł objawia — nie ma więc żadnéj przyczyny, dla czegoby jedno sumienie drugiemu ulégać miało. Mogą odpowiedzieć na to, że najwyższém prawidłem dla każdéj rozumnéj istoty jest dobro ogółu, i że każdy powinien się poświęcić, gdy idzie o roztrzygnienie przyszłego losu społeczeństwa. Ale, mówiąc tak, jestto mnożyć trudności, miasto je usuwać. Bo któż oznaczyć może, jakie są owe prawidła i jaki los całego społeczeństwa być powinien? Jeżli rozum i sumienie ogółu każe nam gruntować tę teoryją na przeznaczeniu człowieka, więc moje osobiste sumienie i mój osobisty rozum mogą przeciwną wystawić teoryją; a tym sposobem zostalibyśmy znowu bez wyższéj i wspólnéj idei, bez związku i bez społeczeństwa. — Sumienie, czyli własne indywidualne świadectwo, jestto nieporządek w pierwotnéj zasadzie, jestto nieporządek w pojęciach, co dobre, a co złe, co słuszność, a co niesłuszność.“ Nie zadziwi nas to bynajmniéj, gdy po tak zwycięzkiéj i jędrnéj walce ze źródłem zasadniczém wszelkich politycznych i religijnych rewolucyj czytamy w tymże artykule zapewnienie *Journal des Debats*: „Iż jest coś piękniéjszego jeszcze jak deizm, a tém jest wiara katolicka, i że jest książka, co dłużéj potrwa, jak encyklopedyja, a tą książką jest ewangelija.“

Zasady te i zdania, pochodzące z kraju, z którego wszelkie zepsucie wypłynęło, oraz wyrzeczone przez jednego z autorów *Journal des Debats*, są tak ważném i przyjemném zjawiskiem, że nie moglibyśmy ich w piśmie naszém pominąć milczeniem.

— Ze Lwowa. —

Z litografii zakład. narod. im. Ossolińskich wyszły dwa walce, utworu Karola Antoniewicza, pod tytułem: Wspomnienie Mikuliczyna r. 1833, które autor poświęcił swéj siostrze, Albinie z Antoniewiczów Romaszkanowéj. Dostać można tych walców w księgarni K. Wilda i s.

Odbiéramy listowną wiadomość z Niemiec, że autor romansów historycznych, Alexander Bronikowski, którego krótką bijografiją umieściliśmy nie dawno, umarł tamże w skutek zadawnionéj choroby. Jak tylko dzienniki potwierdzą tę smutną wieść, nie omieszkamy dodać szczegółów do wiadomości niniéjszéj.

Rękopismo z roku 1677 wymienia czterdzieści twierdz i zamków, które za króla Michała Wiszniowieckiego dostały się w moc Turków. Wiele z nich pozostało teraz lichémi miasteczkami lub wsiami, jak np: Czernelica, Kołaczkowce, Gwoździec i t. d. Śniatyn był także warownią i jedną z zabranych wtedy.

Z Przemyśla. Poszyt czwarty czasopisma teologicznego za r. 1833, Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy, obejmuje następujące artykuły: 1) O przeciwnościach, ciosach i klęskach kościoła Chrystusowego i t. d. (dokończenie). 2) Zkąd początki mistycyzmu wywodzić należy. 3) Myśli o zachowaniu się kapłanów świeckich na świecie, w kościele w domu i t. d. 4) Wiadomość o wierze i obrzędach kościoła, antyjocheńskiego, tudzież o obyczajach i sposobie życia uwczasowych Chrześcijan. (Z dzieł Ś. Chryzostoma). 5) Literatura. 6) O zwierzętach dziś nieznanych, a wspomnianych w piśmie świętém. 7) Stan kościoła angielskiego i katolickiego w Anglii, Irlandyi i Szkocyi. 8) Dokończenie dokumentów, tyczących się biskupstwa przemyskiego ob. łac. 9) List okólny Jego Świąt. papieża Grzegorza XVI. — Ważne to pismo, jak już donosiliśmy, w tym samym składzie także w roku bieżącym wychodzić będzie.

W dobrach pana Zakliki we wsi Chawłowicach, w obwodzie przemyskim, okazały się ślady kamiennego węgla, a lubo na powierzchni, po któréj woda płynie, okazał się ten węgiel więcéj skamieniałym i mało mającym w sobie palącéj się materyi, aby długo żar mógł utrzymywać; jednak jest nadzieja, że głębsze poszukiwanie odkryje prawdziwy węgiel kamienny, który byłby istotnie dobrodziéjstwem dla okolicy, ale dotąd chwila roku nie sprzyja temu poszukiwaniu, wszelako próby tego kamienia będą posłane do zakładu narod. imien. Ossolińskich. A.

Z Wiédnia. Ksiądz Kulczycki, zostający w tutéjszym domu seminaryjnym dla wychowańców galicyjskich stanu duchownego, bardzo pięknie obraca czas, zbywający mu od nauk, zbiérając nie tylko wszystkie wiadomości o pomnikach znajdujących się tu w Wiédniu i mających jakąkolwiek styczność z krajem naszym, ale nawet o osobach, rozmaitych zakładach, domach polskich i książkach. Już kończy przejrzenie katalogu biblijoteki cesarskiéj i zamyśla przejrzéć jeszcze katalog biblijoteki uniwersytetu wiédeńskiego, a przypiskami chce wskazać, które dzieła nie zostały przez biblijografów naszych wspomniane. Będzieto więc *Biblioteca polonica Vindobonensis*, wielce pożyteczna dla zajmujących się literaturą polską w Wiédniu, a nawet i dla innych Sławian, chcących z tego wskazanego źródła dla dziejów narodowych i języka korzystać. Razem przytém opisuje bawiący tutaj także pan Adam Kłodziński mniéj znane a ważne dzieła, należące do literatury naszéj, czém dopełni się spis polskiego księgozbioru. — Drogą prywatną odbiéramy z Wiédnia wiadomość, że spekulanci zamyślają tamże o zaprowadzeniu z Wiédnia do Galicyi kolei żelaznéj i wozu parowego, coby było prawdziwie olbrzymim zakładem, jeżliby temu niedostatek węgli kamiennych po drodze i materyjału żelaznego nie był bardzo na przeszkodzie, a może z czasem rozciągnęłaby się podobna kolej aż do Lwowa, z wielkim pożytkiem dla handlu w kraju naszym. Projektowaną koleją żelazną z Wiédnia do Galicyi chcą ciż spekulanci lotem ptasim sprowadzać opasłe woły galicyjskie do Wiédnia, którytu

przewóz nie jednegoby zapewne niepomału zadziwił. Obliczają na tém oczywiste zyski, bo wół, odbywszy tak utrudzającą i długo trwającą przechadzkę z Galicyi do Wiednia, traci pewnie w drodze najmniéj połowę tłustości, a koszta jego transportu o wiele zysk na nim pomniejszają. Tą samą drogą możnaby także wyprowadzać z Galicyi z wielką dla kraju korzyścią inne produkta nasze, jakoto: zboże, wódkę i t. d., różne ciężkie towary, które teraz wywożone, z powodu drogości transportu, zaledwo opłacić się mogą.

Z Krakowa. Wyszło tu dziełko jeszcze r. 1833 pod nazwą: „Andrzej z Tęczyna, powieść narodowa z dziejów 15go wieku, przez Franciszka Nowowiejskiego. Druk i nakład Joz. Czecha. 8ka, str. 54." Jestto pierwszy utwor nowego pisarza i nie zły, jak na pracę początkową.

Z Warszawy. Niespracowany Fr. Sal. Dmochowski ogłosił tu prospekt na nowe pismo czasowe, pod tytułem: „Rozrywki niedzielne, czyli: Zbiór nowych powieści."

Z początkiem tego roku wyszedł w Warszawie u Gałęzowskiego i spółki: Jutrzenka, Noworocznik warszawski na r. 1834, ozdobiony ryciną utworu Ant. Oleszczyńskiego (jakeśmy już w nrze 3. Rozm. donosili) i zawiéra następujące rzeczy: Proza: Kazimiérz, w województwie lubelskiém (którego widok przedstawia rycina), przez L. P. Sawitry, ustęp z poematu sęskryckiego, przez Kazimiérza z Królówki. Matylda i Gustaw, powieść przez Antoninę J. Człowiek i jego lata, parabola z N. Wyjątek z pisma pod tytułem „Piękność i Wzniosłość," przez K. z Kr. Przeobrażenia, fantazyja, przez J. D. Minasowicza. Młodość Kopernika, powieść, przez Annę Nak... Walter-Scott, wspomnienie naukowe, przez Eleonorę G. Poezyje: Fraszki, przez Kazimiérza z Królówki. Olimpija, powieść żartobliwie-poważna, przez L. P. Dziadek przez K. z Kr. O dobréj żonie, z przypowieści Salamona, rozdział 31szy, przez tegoż. Z Hioba, I., II. i III., przez K. z Kr. Uboga wdowa, przez St. z Dz. Uczeń czarnoksiężnika, z Göthego, przez K. z Kr. Śpiéwak; Kwiatek, pieśń więźnia, obie z Göthego, i Zimowa piosnka, z Bürgera, przez Ant. Szabrańskiego. Śpiéwka do wietrzyka; Pieśń; i Śpiéwka, przez K. z Kr. Cyganka i Halina; i Aniołki i Adelcia, przez St. z Dz. Zapytanie, przez Wal. T. Karolek i słońce, przez St. z Dz. Myśl matki, przez Wal. T. Wspomnienie Henryka Hertzberga; i Pociecha, przez Ant. Szabrańskiego. Człowiek i cień, z Herdera, przez K. z Kr. Znalezienie, z Göthego, przez Ant. Szabrańskiego. Wdzięczność, przez Wal. T. Cena egzemp. w ozdobnej oprawie, z futeralikiem, złp. 6; na welinie złp. 10. (Z Gaz. Warsz.)

Z Wilna. Kuryjer Litewski (gazeta polityczna), który dawniéj tylko w języku polskim wychodził, wydawany jest od nowego roku razem w rossyjskim i polskim języku.

Anegdota z życia Franc. Karpińskiego. W r. 1807 czy ósmym. w wilíją imienin tego poety, wojewodzina Prozorowa przyjechała dosyć późno do Karpinowa (gdzie tenże mieszkał) i przenocowawszy w oberzy, mało od dworu odległéj, nazajutrz razem z jutrzenką stanęła pod oknem mieszkania, w którém spokojna dusza Karpińskiego słodkim snem spoczywała. W tém dał się słyszeć znany hymn tego poety: *Kiedy ranne wstają zorze*, w pięknie dobranych głosach, z towarzyszeniem kilku instrumentów. Ta niezwykła harmonija przerwała sen Karpińskiemu. Pierwsza myśl przyszła mu, że to być mogło snu złudzenie. Lecz coraz wyraźniéj słysząc głosy, anielskim podobne, zaczął się przekonywać, że nie śpi; nie mógł wszelako wypadku tego trafnie sobie wytłumaczyć. Przyszło mu do głowy, że we śnie mógł się przenieść do wieczności i że stanął w przybytkach Przedwiecznego. Myśl ta nadzwyczajnie go wzruszyła; porwał się z łóżka, przetarł oczy, a widząc wszystkie przedmioty na swojém miejscu i słysząc już wyraźnie hymn swój ku połowie zbliżający się, ubrał się jak najśpieszniéj i wyszedł dla przekonania się, kto mu tak przyjemny zrobił podstęp. Postrzegłszy szanowną patronę, zalany łzami rozczulenia, padł przed nią na kolana i przyjął życzenia imienin. Zawsze, kiedy się zdarzyło wspomnieć o tym miłym przypadku, powtarzał poeta, że to był najpiękniejszy dzień w jego życiu. (Zdarzenie to wyjęte z „Noworocznika litewskiego na r. 1831, wydanego przez H. Klimaszewskiego w Wilnie r. 1830," wcale nieznanego w kraju naszym, a który na większe upowszechnienie zasługiwał.)

Czytamy w wychodzącéj w Wrocławiu „Gazecie Szlązkiéj," że towarzystwo szląskie w celu rozszérzania oświaty ojczystéj, postanowiło wydawać nie-drukowane dotąd, lub błędnie drukowane kroniki szląskie i piśmienne źródła historyczne, między któremi znajdować się także będą obie kroniki starożytne *Chronica Polonorum* i *Principum Poloniae*.

Zakonnicy ormiańscy w Wenecyi, znani pod nazwiskiem mechitarystów, wielką położyli zasługę około literatury ormiańskiéj. Teraz rozpoczęli wydanie klassyków ormiańskich i dotąd ogłosili już drukiem pisma Conika Kolpensisa, Mojżesza Choronezkiego i Wartana poezyje. Mechitaryści wiédeńscy posiadają drukarnią kilku narzeczy sławiańskich.

Literatura w Węgrzech rażnym postępuje krokiem. Towarzystwo naukowe tamtejsze wydaje swoim kosztem przekłady dzieł dramatycznych Szekspira, Woltera, Szyllera i Göthego. Wkrótce wyjdzie z druku dzieło narodowe adwokata J. de Basthy: *Magyarok Emléke* (Pomnik Węgier).

W okolicach Genewy mieszka pan N*, obywatel dość podeszłego wieku, ojciec dwunastu synów i z tego względu pobiéra ustanowioną od rządu szczupłą pensyją. Mimo tak liczną rodzinę i ograniczone mienie pan N* żyje przyzwoicie i nawet, jak na temeczny kraj, dostatnie. Najnaturalniéj byłoby przypisać ten fenomen jego pracowitości i rządności. Ale sąsiedzi, a nade wszystko sąsiadki, wzgardzili tak prostą przyczyną i, głębiéj sięgając, przypisywali dobry byt pana N* związkom ze światem niewidzialnym. Twierdzili mianowicie, iż skarbiec jego zawiéra się w pewnéj czarnéj kurze, która mu znosi codziennie po talarze. Wkrótce cała okolica najmocniéj w to uwierzyła i znalazły się nawet osoby, które na własne oczy ten fenomen widziały. Taka wieść i jawna ztąd niechęć sąsiadów słusznie zatrwożyły pana N*, udał się on do burmistrza, prosząc o obronę w razie napaści i o zdrową radę. Rozsądny burmistrz powiedział, iż najlepszym środkiem uspokojenia umysłów byłoby sprzedanie talaro-rodnéj kokoszy przez publiczną licytacyję. Pan N* chwycił się tego środka i wkrótce, w skutek wydanych obwieszczeń, wielkie mnóstwo amatorów zbiegło się do jego folwarku. Kokosz szła w górę i nakoniec, po długim targu, pozostała własnością jednego z okolicznych dzierżawców, pana P*, który, zapłaciwszy za nię trzydzieści kilka dukatów, poniósł ją w tryumfie do domu, ucieszony, że umieścił swój kapitał na tak zyskowny procent. Lecz krótką była ta radość, gdy, na trzeci dzień, kura, zamiast brzęczącéj monety, zniosła piękne, zwyczajne jaje. Zaczęto się domyślać, że dostatki pa. N* nie z tego źródła pochodzą; ale znalazł się jakiś przenikliwy jegomość, który strapionemu nabywcy wyjaśnił, że umowa, zawarta przez pa. N* z biesem, tylko jego samego się tycze i nie może się rozciągać na innych właścicieli kury, jedna zaś z blizkich sąsiadek i przyjaciółek pana N* zaręczała, że widzi co nocy kurę, przylatującą do jego folwarku, gdzie, podług zwyczaju, znosi talara i natychmiast wraca do swego nowego mieszkania. Te argumenta najmocniejsze uczyniły wrażenie na pu. P*, który, nie tracąc czasu, pozwał już pa. N* do sądu o jawny fałsz i podstęp. Sprawa ta, wkrótce mająca się wytoczyć, przedstawi nie mało zabawnych szczegółów, a nade wszystko posłuży za skazówkę, do jakiego stopnia oświata jest rozszerzona w okolicach Genewy. (Tł: T. P.)

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.